

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

kwiecień 2009 r.

Nr 4 (73)



## Witam wiosniano i co najważniejsze – słonecznie

W pierwszych słowach mojego felietonu pragnę złożyć Czytelnikom oraz współpracownikom najserdeczniejsze podziękowania za przesłane świąteczne życzenia. Te najdalsze były z Kanady od Gabrysi. Włodek sprawdzi jeszcze te elektroniczne. Z konieczności spóźnione, ale równie ciepłe, odwzajemniam.

Dzisiejsze „K” są typowo kwietniowe, przeplatają się w nich bowiem przeróżne sprawy, zgodnie z rytmem tego specyficznego miesiąca. Ale to po prostu samo życie zdeterminowało ten chaos. Chcemy poniekąd w ten sposób pospłacać różne moralne zaniechania – wynikił zresztą z powodów obiektywnych.

Na początek, na ręce Naczelnego Redaktora Staszka Piguły dla całego Zespołu wiele serdeczności z okazji godnego Jubileuszu – byle tak dalej.

A u nas znajdują Państwo bardzo ciekawy suplement Janka Sznajdra do wywiadu o nieodżałowanej pamięci doktorze Mieczysławie Sekiewiczu. Przedstawiamy dopisek Czytelnikom z dużą satysfakcją. Również Włodek Kowalczykiewicz (młodszy) podaje sporo ciekawostek o „wojskowych małolatach” (ma szczęście, bo jego rodzice mieszkali naprzeciwko koszar). Zygmunt Durkiewicz w „swobodnym strumieniu świadomości”, wydawałoby się puszczonym „samopas” ukazuje, jak ważne mogą być dla dziecka sprawy, nazywane przez dorosłych „drobiazgami”. Panie Zygmuncie, pańskiej ciekawej, prawie po-

etyckiej prozie groziło „pocięcie”, bowiem „metraż” artykułu nie do pomieszczenia na skromnych łamach „K”. Właściwie jest to opowieść z kluczem – najlepiej zrozumieją ją rdzenni koninianie. Jednakże w przyszłości prosimy o teksty krótsze, przepraszając jednocześnie, że grymasimy.

Jagoda Naskręcka przepięknie wita wiosnę, natomiast wiersz D. Olczak dedykuję pewnemu młodemu chłopcu. Za co, wyjaśniam przed wierszem. Bartosz Kielbasa przekazuje relację z konferencji naukowej nt. Setidavy. Zaś Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy), pewno będący na skraju politycznego wyczerpania (co absolutnie nie dziwi) daje kilka celnych uwag o UE!

Rysunek klasztoru wykonany przez Mirkę Dymitrow niechaj będzie zadośćuczynieniem wielkanocnym dla wierzącej części redakcji „K”.

I ostatnia sprawa – nasz tajemniczy respondent (TRŁ) wodzący nas za nos przez ostatnie wydania „K”, został wreszcie rozszyfrowany. Stawiam całą herbatę Chin przeciwko garści orzechów, że to mój serdecz-

ny przyjaciel doktor Tadeusz Robert Łasiński – mam wrażenie, że będzie pisał dalej (tyle było namawiania), ale już PT swoim nazwiskiem.

Pozdrawiam Czytelników i zakładam się „o zielone”  
Stanisław Sroczyński

PS Janek Sznajder przeprosza za „dąb Sikorskiego”, miało być „dom”.



rysunek Mirosława Dimitrow

## Z okazji Jubileuszu „Przeglądu Konińskiego”

*Trzydzieści lat to taki dziwny wiek, gdy chce się jeszcze poszaleć, ale już coraz częściej trzeba brać odpowiedzialność za to, co się robi, mówi, a nawet myśli.*

*„Koniniana” mają dopiero sześć lat i dorastają, jak dotąd, pod opiekuńczymi skrzydłami starszego brata – „Przeglądu Konińskiego”.*

*Jako „młodzi”, chcielibyśmy jak najdłużej jeszcze czuć oparcie w tym braterskim autorytecie.*

*Pozwalamy sobie jednocześnie dedykować Przeglądowi – zmagającemu się często z szarżystą niewdzięczną codziennością, dla podtrzymania woli walki, mądry wiersz znanego poznańskiego poety Pawła Kuszczczyńskiego.*

Redakcja „Koninianów” in corpore

Paweł Kuszczczyński

## Pozostaje

*Najdziwniej kochany kraj  
powyłamywanej wolności,  
gdzie Wschód sięga Zachodu,  
a niechciane sny gwałcą ciszę.  
Próżne obrażanie się na świat –  
on i tak pozostaje,  
cywilizacyjna miska pełna toksyn.  
Już jesień, nie pytaj  
gdzie bardziej:  
w pustym ogrodzie czy w tobie.  
Potrzeba coraz częściej wygrywa  
z pragnieniem.*

*Na własne oczy zobaczyć  
radość wnuka, gdy w deszczu mokniesz.*

*Najtrudniej uczyć się życia.*

*Tylko myśleć, że przy mnie jesteś,  
choć ciągle panuje wczoraj z mglistym jutrem*

Cichowo – Soplicowo, listopad 2008



## Konferencja naukowa pt. „Setidava. Konin na Szlaku Bursztynowym”

W dniu 3 kwietnia 2009 roku w sali ratuszowej odbyła się konferencja naukowa pt. „Setidava. Konin na Szlaku Bursztynowym” zorganizowana przez: mgra Tomasza Andrzeja Nowaka – współtwórcę portalu internetowego o konińskiej Starówce, oraz Miejską Bibliotekę Publiczną w Koninie. Honorowy patronat nad spotkaniem objęły lokalne samorządy: miejski i powiatowy.

Na wstępie głos zabrał Tomasz Andrzej Nowak, który omówił w skrócie swój obywatelski projekt promocji miasta Konina „Konin-Setidava 1850”. Autor doszedł do wniosku,

że skoro w 2010 roku Kalisz – utożsamiany według map Klaudiusza Ptolemeusza z dawną Calisią – obchodzić będzie uroczystości 1850-lecia, to dla czego Konin – utożsamiany z Setidavą miałby być gorszy i również nie zorganizować podobnych imprez, popularyzujących wiedzę o Szlaku Bursztynowym. Ważnym elementem w owym planie miała być wspomniana konferencja, wszak wprawdzie należy poznać dotychczasowe rezultaty badań archeologicznych na temat szlaku, aby następnie przystąpić do konkretnych działań marketingowych.

Prelegent mgr Krzysztof Gorczyca z Muzeum Okręgowego w Koninie stwierdził, iż koniński odcinek Szlaku Bursztynowego obecnie ma

charakter czysto wirtualny, tj. wiele ze stanowisk archeologicznych dokumentujących jego przypuszczalny przebieg zostało zniszczonych przez procesy urbanizacji i industrializacji w regionie w II połowie XX wieku, dlatego też z pewną dozą prawdopodobieństwa możemy identyfikować Konin z pradawną osadą Setidava. Natomiast dr Tadeusz Baranowski i mgr Sławomir Miłek (związani z PAN w Warszawie) omówili rezultaty badań archeologicznych śladów kultury celtyckiej w okolicach Kalisza (m.in. pozostałości mennictwa). O Szlaku Bursztynowym na Kujawach, na podstawie wyników wieloletnich prac zespołu prof. Cofy-Broniewskiej (m.in. w okolicy

Inowrocławia i Ciechocinka), opowiedziała dr Barbara Stołpiak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Po zamknięciu sesji referatowej przystąpiono do dyskusji z pozostałymi uczestnikami. Janusz Antczak – wicestarosta wieluński omówił metody pozyskiwania środków finansowych na promocję Nadwarciańskiego Szlaku Bursztynowego na południu woj. łódzkiego i dotychczas zrealizowane przedsięwzięcia w tym zakresie. Głos w sprawie zabrali także przedstawiciele podobnych towa-

rzystw z Wieruszowa i Ciechocinka. W trakcie obrad nie zabrakło także opinii członków konińskiego oddziału PTTK i lokalnych regionalistów. Nad prawidłowością merytoryczną obrad czuwał prof. Aleksander Kośko z UAM.

Na sam koniec, tytułem podsumowania, należy stwierdzić, iż miarą zainteresowania tą konferencją ze strony społecznej była nadspodziewana liczba jej uczestników. Czas poświęcony na tego typu debaty nie jest nigdy zmarnowany.

Bartosz Kielbasa

# Była w Koninie taka szkoła...



Reminiscencje związane ze szkołami, poznanymi dzięki opowiadaniom bliskich, towarzyszą nam przez całe życie. Również i ja zachowałem po-  
dania rodziców o Podoficerskiej Szkole dla Małoletnich w Koninie. Moi dziadkowie byli właścicielami domu posadowionego vis-à-vis szkolnej pralni  
i wąskiego placu ćwiczeń, stąd gawędy miały charakter obyczajowy i wiązały się ze spotykanymi, na co dzień elewami.

Do momentu, gdy do skrzynki pocztowej zapukał list od swo-  
jaczki z Kanady moja wiedza o  
szkole była wybiórcza. Respon-  
dentka wówczas napisała: „...  
U nas w Kanadzie jest jedyny  
w swoim rodzaju cmentarz.  
Na „Field of Honour” w Po-  
inte Claire znajdują się groby  
Żołnierzy Polskich Sił Zbroj-  
nych. Przeglądając księgę z  
nazwiskami wzbogaconymi  
o życiorysy weteranów, zna-  
lazłam związany z Koninem  
następujący akapit. Szypu-  
lewski Waclaw ur. 22 stycz-  
nia 1917 r. w Olszance, pow.  
Augustów, woj. białostockie.  
Absolwent Szkoły Podoficer-  
skiej dla Małoletnich w Ko-  
ninie (1932-1936)... Ewaku-  
owany do Rumunii przedostał  
się do Anglii 5 sierpnia 1940  
r. Po przeszkoleniu w jedno-  
stce wyszkolenia bojowego  
wcielony został do 300. Dyw.  
Bombowego Ziemi Mazo-  
wieckiej. Latał również w  
305. Dyw. Bombowym Ziemi  
Wielkopolskiej...”

List zza oceanu spowo-  
dował, że bardziej zaintere-  
sowałem się losami absolwen-  
tów Podoficerskiej Szkoły dla  
Małoletnich w Koninie. Kwe-  
rendę prowadziłem przez trzy  
lata. Dane pochodzą z różnych,  
niekiedy przypadkowo natra-  
fianych źródeł. Spośród wielu  
przytaczam fragmenty niektó-  
rych życiorysów zmuszony  
koniecznością – skromne łamy  
miesięcznika „Koniniana” nie  
pozwalają...

Przed laty w jednym z nume-  
rów „Gazety Gostyńskiej” zna-  
lazłem następujący akapit: „Edwin  
Piechowiak urodził się 20 czerwca

To dobrze, że wspomnienia  
są przelewane na papier, bowiem  
Kazimierz Niechwiatowicz w  
książce pt. „Moje Sobotniki”

w stopniu sierżanta 1. plutonu 1.  
kompanii 6. Batalionu 77. PP AK.  
Po wojnie aresztowany... Otrzy-  
mał wyrok śmierci, zamieniony

pseudonimy „Jarosz” i „Warta”...  
Ze względu na dobrą znajomość  
języka niemieckiego, pracował  
w zamojskim, a następnie kras-  
nobrodzkim Arbeitsamtzie...  
Sowieci wydali na niego kil-  
ka wyroków śmierci, m.in.  
za dowodzenie udaną akcją  
uwolnienia 32 AK-owców z  
więzienia NKWD w Zamo-  
sciu... Po powrocie do Wiel-  
kopolski nadal przeciwstawił  
się prosowieckiej władzy,  
która aresztowała go w 1956  
roku. Na szczęście po pół-  
rocznym śledztwie wyszedł  
na wolność”.

Lektury wszystkich ży-  
ciorysów pozwalają wycią-  
gnąć jeden budujący wniosek.  
Atmosfera w szkole musiała  
być nasycona olbrzymim pa-  
triotyzmem, w wyniku czego  
mury opuszczali najlepsi sy-  
nowie naszego Narodu. Czyż  
słowa „Acta probant se ipsa  
– czyny mówią za siebie” nie  
są odzwierciedleniem wkładu,  
jaki wnieśli wychowawcy w  
kształtowaniu umysłów przy-  
szłych absolwentów szkoły?

Zauważyłem, że oprócz  
heroizmu, jaki cechował wycho-  
wanków Podoficerskiej Szkoły  
dla Małoletnich w Koninie jest  
jedna smutna klamra spinająca  
ich powojenne losy. Za bohater-  
ską postawę we wrześniu 1939  
roku oraz za męstwo na polach  
bitewnych wszystkich frontów  
świata, zamiast należytej chwały  
wielu spotkały represje.

**Włodzimierz Kowalczykiewicz  
(młodszy)**



Foto: ze zb. autora

1918 roku w Duisburgu... W 16.  
roku życia wstąpił ochotniczo do  
trzyletniej Szkoły Podoficerskiej  
Piechoty dla Małoletnich w Kon-  
inie... Uczestniczył m.in. w walkach  
nad Narwią i pod Nowogrodem...  
W kwietniu 1940 roku złożył przy-  
sięgę jako żołnierz podziemia (ps.  
„Jurand”)... 5 sierpnia 1944 roku  
brał udział w walkach pod Skalb-  
mierzem, w ramach Pińczowskiej  
Republiki Partyzanckiej...”

opowiada: „Stefan Kaczalko z  
wioski Ściganie w latach 1935-  
38 ukończył Szkołę Podoficerską  
dla Małoletnich w Koninie... We  
wrześniu 1939 roku jako pluto-  
nowy tego pułku w składzie 19.  
Dywizji Piechoty brał udział w  
walkach pod Piotrkowem Try-  
bunalskim, Tomaszowem Mazo-  
wieckim i Sulejowem... W 1942  
roku został członkiem AK o pseu-  
donimie Olszyna... Był dowódcą

na 25 lat ciężkich robót w kopal-  
ni węgla w Workucie. Po śmierci  
Stalina w styczniu 1957 roku  
przyjechali do Gorzowa Wlkp...”

Piotr Jackowski w publikacji  
pt. „Żołnierze Maryi” napisał:  
„Jan Woś urodził się 24 grud-  
nia 1914 roku. Ukończył Szko-  
łę Podoficerską dla Małoletnich  
w Koninie. W listopadzie 1939  
roku wstąpił w szeregi oddzia-  
łów partyzanckich, przyjmując

## O dobrym chłopcu

Wiersz Danusi Olczak pragnę  
zadedykować pewnemu młodemu  
chłopcu spotkanemu w szpitalu  
w Poznaniu. Kamil Baranowski  
ma 19 lat, 190 cm wzrostu oraz  
wagę około 125 kg. „Chłopisko”  
ze złotym sercem. Zachowywał  
się tak, że trudno było uwierzyć,  
że gdzieś są niegrzeczne dzieci.  
Przerastał każdego z nas przynaj-

mniej o głowę, jednocześnie sza-  
lenie uczynny, sam chory, był na  
każdą prośbę (albo i bez prośby)  
gotów nieść każdemu pomoc. Zo-  
stał ulubieńcem nie tylko pacjen-  
tów, ale całego białego personelu.  
Ja zwróciłem do niego uwagę, gdy  
mimo woli podsłuchałem jego  
rozmowę telefoniczną z bratem  
– „opiekuj się psami, zważyłem

je przed wyjazdem, nie radzę ci,  
żeby schudły”. Kamil jest spod  
Konina, pracuje na stacji benzy-  
nowej i dodatkowo kończy techni-  
kum gastronomiczne. Przy łóżku  
tego olbrzyma stał „słodki aniołek  
z terakoty” (w tym szpitalu jest  
to wyjątkowo wzruszający obra-  
zek). Kamila zasłużyłeś na wiersz  
p. Danusi Olczak (Ona też zbiera  
aniołki). Do zobaczenia Cię pozdra-  
wiam, serdecznie Cię pozdra-  
wiam, do zobaczenia, byle nie  
tam, gdzie ostatnio!!

StS

jest tak samo i np. Wróbel, na liście  
krajowej jest na 26. miejscu, a na  
lokalnej zaraz poza podium, czyli na  
wysokim czwartym miejscu.

Choć pańskie, Panie Redak-  
torze, oraz i moje skromne nazwi-  
sko (też na -ski) znalazły się poza  
pierwszą pięćdziesiątką, to mnie-  
mam, grzesząc pychą, że może  
nazwiska, które nosimy są na tyle  
niepopularne, co i wyjątkowe.

Na koniec dla ciekawości  
– amerykański Nowak to Smith, ro-  
syjski – Iwanow, niemiecki – Mul-  
ler oraz chiński – Wang.

Pozdrawiam

Tadeusz Robert Ł . . . . ski

Danuta Olczak

**Dobro jest ...**

*Zawsze będzie  
jasną stroną człowieka  
odwiecznym rywalem zła  
alfą i omegą stworzenia*

*choć dobro  
nie jest w cenie  
i staje się niemożliwe  
jak znoszone ubranie*

*to jednak  
 tęsknimy za nim  
pragniemy go  
jak powietrza*

**DOBRO**  
*jest posłańcem wieczności  
przedsiębiorcą rajów  
na ziemi...*



Listy do redakcji

## Szanowny Panie Redaktorze

Sądzę, że Czytelników „K” zainte-  
resuje informacja dotycząca czołówki  
najpopularniejszych polskich na-  
zwisk, w tym także mieszkańców na-  
szego miasta. Okazuje się, że przysło-  
wiowy Polak, to wcale nie Kowalski  
tylko... Nowak, których mamy prawie  
200 tysięcy. Kowalskich jest o ponad  
50 tysięcy mniej, a Wiśniewskich je-  
dyndy 108 tysięcy. Pierwszą dziesiątkę  
zamyka Woźniak z liczbą nieco ponad  
87 tysięcy. W pierwszych pięciu dzie-

siątkach zabrakło przedstawicieli flo-  
ry, natomiast fauna reprezentowana  
jest przez Zająca (21. pozycja), Wró-  
bla (26.), Dudka (35.) i Barana (42.).  
Połowa, czyli 25 nazwisk kończy się  
na -ski, a tylko jedno na -cki (pozycja  
36. – Nowicki).

W niespełna 79-tysięcznym  
Koninie kolejność pierwszej trójki  
nazwisk sytuuje się podobnie, jak  
w skali całego kraju i wynosi odpo-  
wiednio 960, 627 i 611. Dalej już nie



## O Mieczysławie Sękiewiczzu jeszcze...

W ostatnim numerze „Koninianów” (marzec 2009 r.) ukazały się wspomnienia o Mieczysławie Sękiewiczzu, znanym i cenionym lekarzu weterynarii, człowieku skromnym i prawym. Pragnę poszerzyć te wspomnienia o mniej znany fragment Jego życia, poświęcony obronie ojczyzny.

Lwowianin z urodzenia, już jako mały chłopiec pomagał żołnierzom w obronie Lwowa przed atakami ukraińskich wojsk. Stał wraz innymi dziećmi do obrony swojego miasta. Jego rówieśnicy spoczywają na Cmentarzu Orłąt. To także o Nim mówi patetyczny wiersz:

*„...Pośród wichrów i zamieci  
Pośród wycia, świstu kul,  
Bronią Lwowa polskie dzieci,  
Znosząc rany, śmierć i ból.”*

Ćwierć wieku później, synowie tamtych Orłąt Lwowskich szli na barykady z pieśnią:

*„Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój.  
Za każdy kamień twój, Stolico, damy krew...”*

Od 1922 r. Mieczysław Sękiewicz należy do Związku Inwalidów Wojennych. Ma 12 lat... Zdążył przejść całą historię związku: utajnienie działalności w okresie wojny, likwidację organizacji w okresie stalinowskim, odbudowę struktur związkowych po odwilży 1956 r... Od 1981 r. ppor. Sękiewicz zostaje członkiem Konińskiego Oddziału ZIW RP.

Wróćmy do odległej przeszłości. W 1939 r. powołany do 2. Ochotniczego Pułku Piechoty Obrońców Lwowa, bierze udział w walkach na przedpolu Lwowa, w bitwach pod Birczą, w Lasach Moszczanieckich i in. Za bohaterstwo na polu walki otrzymuje Krzyż Walecznych. Po rozbięciu jednostki,

już w grudniu 1939 r. wstępuje do ZWZ (Związek Walki Zbrojnej, później Armia Krajowa). Przyjmuje pseudonim „Sławek”.

Dalsze losy doktora opisuje cytowany artykuł, do którego wkrađa się pewna nieścisłość. Wg akt osobowych, przechowywanych w archiwum ZIW RP Oddział Konin, ppor. Mieczysław Sękiewicz, żołnierz konspiracji ZWZ od XII 1939 r. w obozie od X 1940 r.

W latach 60. w Muzeum Okręgowym w Koninie (jeszcze w Marantowie) projektowałem wystawę martyrologii okupacyjnej. Poprosiłem p. Sękiewicza o wypożyczenie pasiaka obozowego, w którym wrócił w 1945 do Konina. Na środku sali wystawowej leżał obozowy pasiak, a na nim czerwona róża, w kolorze krwi.

Jan Sznajder



### Złociste odwiedziny

*Wilgo złocista  
odwiedziła mnie dziś  
po raz pierwszy tej wiosny  
i wnet rozjaśnił się  
pochmurny świt  
jesteś  
symbolem swobody  
świadectwem wdzięku  
i urody natury  
radością ucha i oka*

*zapewne nieraz jeszcze  
pojawiś się  
w czasie swego letniego pobytu  
zawsze niespodziewanie  
i na krótko  
choć mieszkasz w pobliżu  
w wysokich topolach*



Jadwiga Naskręcka



## Prywatne uwagi w sprawie Unii Europejskiej

W radiu, telewizji i prasie podnoszą się głosy na temat narzucania nam nakazów, zakazów oraz stosowania standardów obowiązujących na Zachodzie, a rzadziej w Polsce. Tak jest z serowymi oscypkami, tuczeniem trzody chlewnej, dojeniem krów i magazynowaniem mleka. Przykładów tak dużo, że redakcja „Koninianów” na swych łamach ich nie pomieści.

Być może, w dbałości o tak zwaną ekologię, niedługo będziemy zmuszeni do głaskania much za to, że nam na obiadowym kotlecie przysiadły. Komary całować za wsysanie się w niewymienioną (ku przyzwyczajeniu) część ciała.

Patrzeć tylko, jak zabronią nam stosowania preparatów chemicznych na owady, nawet tak uciążliwe, jakimi niegdyś w naszych mieszkaniach były pluskwy. Dobrze, że młodzi czytelnicy nic o nich nie wiedzą – albowiem ich nigdy nie doznali.

Szanowni czytelnicy! Jestem przekonany, że stojący na czele unii powinni być pozytywnie zbudowani za wydaną w dziewiętnastym wieku w Polsce książkę: „Teoria gospodarowania wewnętrznego”. W niej to, w rozdziale drugim, traktującym „O przyzwyczajeniu utrzymaniu gospodarstwa”, znajdujemy następującą wiadomość:

„W Akademii Królewskiej w Metz odczytano niedawno (1855 r.) szczególny sposób na gubienie pluskw. Sposób ten przypad-

kowo znaleziony należy na siłę przyciągającej, jaką dzika rzeżucha (*Lepidium ruderale*) na te owady wywiera. Skoro suszoną porzuci się w izbie, natychmiast pluskwy licznie się gromadzą na jej gałęziach i liściach; po chwili zdychają lub tak drętwieją, że łatwo je można unieść i w ogień rzucić. Kapitan Munier zrobił uwagę, iż ten sam skutek czynią suche liście zielonego grochu. Miarkując po dzikich gatunkach pluskw, które zwykły gromadzić się na wysuszone łodygi i liście roślin, nie wątpię, że i domowe sposoby pociąg do nich będą miały. Kilkakrotnie jednak czynione próby w tej mierze nie pozwoliły mi uznać najmniejszego śladu owej pociągającej siły między dzika rzeżuchą a domowymi pluskwami. Nie radzę jeszcze polegać na zapewnieniu niektórych naturalistów, że paproć zwana orlicą (*Pteris aquilina*) i roślina zwana pluskwiakiem (*Cinicipuga folida*) jakoby pluskwy domowe niszczy. Błędem jest naostatek mniemanie, jakoby pluskwy polne przy-

noszone do mieszkania, miały w nim domowe wytepić”.

Oświadczam publicznie, że nie mam żadnych powiązań z panem kapitanem Munier. Oświadczam też, że gorzałki z nim nie piłem. Zdaję sobie sprawę, że z mojego sięgania do korzeni tworzenia się współczesnej Europy, nic nie wynika. Natomiast wierzę, że zachodnie kraje naszego kontynentu mogą z rozważań o pluskwach skorzystać. Polacy zawsze byli europejczy, nowatorscy i pomysłowi.

Z uporem rodowitego koninianina występuję przeto z inną inicjatywą. Jeśli poznaniacy chcą uzyskać patent na rogale, zwane marcińskimi, to i ja zgłaszam koniński specjał. Jest nim placek ziemniaczany smażony na patelni. Placek wyróżniający się tym, że ma w środku dziurkę, jeszcze przed upieczeniem wygniecioną niewieścim palcem serdecznym lewej dłoni.

**Autor patentu**  
Zygmunt Kowalczykiewicz  
(starszy)

Zauważyliśmy, bardzo się nam spodobała, zwłaszcza że sprowadziła wcześniejsze słońce... (Koniniana)



# Tykwina i smrodynie

Zdarzyło się, że na popas zajechał do Konina tabor cygański i błonie przy Wale Tarejwy przyciągnęło wielu ciekawskich, w tym również mnie – malca w krótkich spodenkach. Wśród Cyganów wypatrzyłem rówieśnika i namówiłem go do obejrzenia miasta. Zaczęliśmy od mojego podwórza przy ulicy z nazwą na cześć Armii Czerwonej wtedy, a 3 Maja obecnie. Główna ulica, centralne położenie, bo między kościołami – farnym i ewangelickim, obok Domu Kultury i Komitetu Partii, blisko targowicy i siedziby Ochotniczej Straży Pożarnej, ale co tam było do oglądania, w tym podwórzu? – Bardzo wiele! No, tak mnie przynajmniej się wydawało. Z ulicy na to podwórze wchodziło się pomiędzy budynkami, z których w tym po lewej parter zajmował fotograf Sypniewski, poddasze z facjatką nasza rodzina, a w tym po prawej od frontu znajdowała się drogeria, na tyłach mieszkanie Pęcherskich, a piętro należało do Gralińskich.

Wybrukowane podwórze, może półtora ara, obudowane było ze wszystkich stron: południową tworzyły, w ciąg zespolone – dom fotografa, przeszklone atelier oraz piętrowa mieszkalna oficyna; zachodnią – niski budynek pralni i ubikacje; północną – drwalnie lokatorskie, przytykające do wysokiej i ślepej ściany Domu Kultury; zaś wschodnią strona – to ten dom z drogerią, gdzie tuż przed oknami Pęcherskich, na małym trawiastym skrawku podwórza, rósł spory już orzech, postrach komarów. Pomiędzy oficyną i pralnią, furtką w niskim sztachetowym płocie, z podwórza przejść można było do ogrodu, a że ta furka jak raz usytuowana była na wprost dojścia z ulicy, to słońce jakby bramą wschodząc, po zatoczeniu łuku nad podwórzem, akurat za tą furką zachodziło i to zachodziło nieraz tak, jakby w oddaleniu, het za tym ogrodem – za zabudowaniami ulicy Kościuszki na horyzoncie – coś płonęło, resztki dnia.

To chciałem pokazać temu mojemu nowemu koleżce, ogniskiem i lasem pachnącemu, ale ten po kilku moich gestach tu i tam pobiegł do ogrodu, więc i ja za nim. A ogród był nieduży, jak dwa podwórza. Każda rodzina miała tu swoje grządki, przydzielone do uprawiania i tylko krzewy smrodyn bez żadnej opieki pośrodku sobie rosły, a i tak owocowały obficie, a kiedy skrywałem się w ich pędach – bardzo smakowały.

Wybiegliśmy poza ogród i po przeskoczeniu rowu z bieżą, płynącą od olejarni do bajora, stanowiącego pozostałość starorzecza, znaleźliśmy się na rozległej łące, za cel obierając pobliski park. Staw z mostkiem, małą i dużą altaną – to wszystko pokazywałem tak, jakby to do mnie należało, a za parkiem, gdzie w czasie wojny było miejsce straceń, próbowaliśmy szukać śladów po pociągach, ale przejmujący krzyk pawia skłonił nas do powrotu. Już nazajutrz przy Wale Tarejwy było pusto – tabor odjechał, było jak dawniej – i w mieście, i w podwórzu.

\*

W zawieszonym na ścianie głośniku koncertuje orkiestra pod dyktando Cajmera, co nawet można polubić; za oknem facjatki turkocą furmanki, a przejeżdżający ulicą traktor, Bombajem przez nas nazywany – skojarzenie chyba z kombajnem – hukiem silnika tak wstrząsa powietrze, że wokół wszystko drży. W moim podwórzu mieszka Basia Pęcherska i Staszek Sypniewski – oboje rozpoczęli już szkołę, a mnie jeszcze rok czekać trzeba i błąkam się po okolicy. Przy placu, gdzie strażacy ćwiczą i gdzie przed warsztatem naprawczym stoją samochody, do których czasem udaje się wejść i markować jazdę, miesz-

ka Janusz Broniszewski, zaś nad restauracją, przemianowaną potem na „Zacisze” – Alek Kurowski. Kiedy idę do straży, od tajemniczego pana, z ciemnym wąsikiem à la Chaplin, z symetrycznie zaczesanym i od brylantyny lśniącym loczkiem na czole, w domu obok we wnęce wejściowej z walizki sprzedającego słodczyce – wyludzam lizaka.

Już rysuję – najmiłszy prezent to kredki i dużo śpiewam, często za torebkę cukierków. Zaczęło się zamiłowanie do łamiągówek, bo... Do Basi przyjechał kuzyn – naszych ojców i mój imiennik – i rozmawiamy, a na moje pytanie ile ma lat – slysze: – Tyle, co na stole lat – każda lata ma trzy lata. I sę był tylko w tym, że wokoło nie było żadnej stodoły, więc i wieku mojego rozmówcy nie policzyłem do dzisiaj.

Przesiadywałem przy drogerii, obserwując ulicę. – O! – w brązowym habicie, sznurem przepasany, idzie nieszczupły zakonnik – mój przyszły katecheta – i o czym myślisz? – A gdzie są 2 inni konińscy zakonnicy? – to już sam myślę. Czas jakiś w klasztorze była szkoła – tam zaczynała uczyć mama, ale tę szkołę przeniesiono już w inne miejsce. Zakonnik przechodzi obok usytuowanego na wprost naszej bramy kiosku; jest tam błyszczący saturator i tam często kupuję lemoniadę, przeciskając się do bufetu między piwoszami. Za kioskiem stoi dom lekarza Pałysa, a kawałek dalej od niego, w nostalgicznym otoczeniu, dom Czerwińskiego, również lekarza.

Do Komitetu Partii przywieziono dużą ilość drewnianych krzeseł. Okręcone papierem i sznurkiem, spiętrzone jedno nad drugim, czas jakiś stały na chodniku, a że się akurat tam pojawiłem, jak t o mówią – nawinałem pod rękę, to woźny Komitetu zaangażował mnie do ich rozpakowania, do pomocy dając nożyk. I nieroztropnie, bo tym nożykiem wnet się skaleczyłem i powierzonej mi pracy dokończyć nie mogłem. I tak – to pierwsze, i poważne zajęcie w życiu, okupiłem własną krwią.

Tykwina pomieszkiwała przy pralni, w ogrodzie sadziła dynie i bywała naszą opiekunką, moją i mojego rodzeństwa – siostry i dwóch młodszych braci. – Co Mu robi? – Gdzie Mu idzie? – tak do mnie mówiła, tak mi dokuczała, za dawne: „Boi się Mu konika”, a czego już bym nie pamiętał, gdyby mi nie przypominała. Tymczasem – ptaki odlatują, dni coraz krótsze, chłodniej. Za oknem facjatki chłodzą targane wiatrem telegraficzne druty, siedzimy przy piecu w mrocznej kuchni, wpatrując się w płonący pod fajerkami ogień, a Tykwina bajdurzy. O czym? – Ba! – o wszystkim i o niczym. Najmłodsze z nas zasypia. – Kiedy wrócą rodzice?

\*

Wiosna już na dobre. Wybiegam na ulicę, która od zboru po farę przybrała wcale paradny wygląd: wzdłuż jezdnii szarfy na masztach, nad jezdnią rozpięte transparenty, a budynki oflagowane i udekorowane witryny sklepów. Na froncie Komitetu, pomiędzy draperiami, zawisły wielkie portrety, a płot naprzeciwko ozdobiły karykatury w typie tych z Krokodila. Jaskrawa czerwień opanowała miasto. Nadchodził dzień wielkiego Pochodu. Oby tylko dopisała pogoda. Czekamy. Rankiem, na powitanie, z głośnika płynie piosenka, co „...serca nam uzbraja / I naprzód prowadzi nas / Piosenka o 1 Maja / O święcie ludowym mas.”

Słońce wschodziło, a Pochód miał nadejść od zachodu. I tak też było. Poruszenie i gwarna Kościuszki, gdzie tym razem nie od słońca czerwieniła, przemieszczały się w kierunku ulicy Dąbrowskiego i już – już – czoło Pochodu ukazało się u wylotu Armii Czerwonej, a kiedy zbliżało się do straży, usadowiłem się za barierką na parapecie okna wystawowego drogerii, by z większej wysokości lepiej widzieć. A było na co popatrzeć: sztandary i szturmówki, transparenty z napisami, emblematy i podobizny na tablicach, blejtramach, a też przeróżne makiety i modele, niesione jak feretony. Na przedzie Pochodu chorąży z asystą, a za nim w długim szeregu grupa aktywistów. Potem krok za krokiem, w łopocie płócien, w palecie kolorów, wymachując chorągiewkami, idą dorośli i idzie młodzież, idą zakłady pracy i szkoły. A strojem wyróżnia się służba zdrowia, strażacy i sekcje sportowe. Co i raz wznoszone są hasła i wtórują im gromkie okrzyki, podchwytywane przez dalsze szeregi i jak echo niesione na krańce Pochodu: Niech żyje!, Niech żyje!, Niech żyje!...

Wracają już uczestnicy Pochodu z pierwszych, rozformowanych poza trybuną członów – na tym swoim stanowisku przy drogerii zmieniam pozycję na wygodniejszą – a na ulicy pojawia się kawalkada jadących wolno pojazdów, których udekorowane gałkami platformy, stanowią rodzaj ruchomej wystawy osiągnięć jakiegoś tam zakładu i są sceną prezentacji ich zawodowych możliwości. Pojawia się też peleton kołaczy, na rowerach ozdobionych karbowaną bibułką oraz kilku motocyklistów i to, zadawałoby się, byłby już koniec. Chociaż... może nie! Środkiem jezdni zbliża się sylwetka jednego jeszcze uczestnika Pochodu, która ten Pochód zdaje się dopiero zamykać. Mimo że początkowo oczom nie chce się wierzyć, bo tak zadziałała aura Pochodu, to przecież ta sylwetka, ten uczestnik Pochodu kończący, to nasz Henio Łapka – koniński węglarz, a Łapka, bo dłoń miał

wygiętą i nieruchomą w przegubie, a przy tym raczej człapał, a nie chodził. Henio, jak co dzień – z odkrytą pierśią, w kapocie bez rękawów i w krótkich portkach, wysmarowany węglem, ciągnie swój dwukołowy wózek, teraz bez węgla – a który to węgiel rozwozi ze składnicy znajdującej się kawałek stąd i z którego to rozwożenia tylko chyba żyje – nawet dzisiaj, nawet w święto – ciągnie, w Pochodzie. 3

Widząc go takim, w tym miejscu i w tym momencie, tak tutaj obcego, tak niepasującego do okoliczności, miało się wrażenie, jakby był przybyszem z daleka, z jakiejś innej rzeczywistości, a nie naszym Heniem. I o to też pewnie mu chodziło. Nie koniec. Przypominający wyglądem burłaków z obrazu Riepina, nasz Henio Łapka zaczyna śpiewać, a śpiewa tak donośnie, że słyszy go cała ulica i może... obok. Idzie – ulicą Armii Czerwonej i śpiewa, też o czerwieni: – „Czerwone maki na Monte Cassini / Po tych makach szedł żołnierz i ginał, / Lec od śmierci silniejszy był gniew...” – W Koninie życie dopisało epilog do pierwszego powojennego filmu polskiego. Epilog? A może to prolog – tego co za Heniem już nadchodziło, a czego jeszcze nie było widać? – Henio, z pola widzenia zniknął koło fary, a od strony ratusza dochodziły już ostatnie: Niech żyje!, Niech żyje!, Niech żyje!...

\*

Przedszkole mi się upiekło i osiągnąłem wiek szkolny, a szkołę miałem na końcu ulicy, u początku Kolskiej. Zimą było gdzie na sankach zjeżdżać, takie tam zbocza wokół boiska. A jak już przy zimie... Wyczekiwaliśmy jej, bo z Dziadkiem Mrozem, którego w domu św. Mikołaj zastępował, pojawiała się choinka, prezenty, kolędowanie i zabawy. Ale cóż – zima... i po zimie. Wyły syreny, mówiono w szkole, ale to – że Stalina nie ma już wśród żywych, w pełni uświadomiłem sobie dopiero wtedy, gdy na okładce „Świerszyczka” zobaczyłem jego portret w czarnej obwódce. Było to przed świętami wielkanocnymi, które wypadły w marcu. Taka żałoba! – a żyć trzeba, czwarty rok. Sześciolatki. Krzątania przedświąteczna. W domu porządku i duże pranie. Ojciec ze studni przy straży nosi i nosi wodę wiadrami. Przy sklepie rzeźnickim obok – kolejki, tłok jak zawsze. Tak do świąt.

Znów maj. Kibicujemy naszym pięściarzom w Mistrzostwach Euro-

py, odbywających się w Warszawie. Pięć złotych medali! – Kukier, Stefaniuk, Kruża, Drogosz i Chychła. A zawody bokserskie odbywają się również obok, w sali Domu Kultury – co chwilę wybiega na dwór jakiś bokser i przy studni zmywa z siebie ślady walki.

Coraz cieplej. Pierwsza letnia burza z piorunami i ulewa – strumienie wody płyną przez podwórze w kierunku ogrodu. A po burzy ćwierkają wróble i na niebie pojawia się wspaniała tęcza. – Na szczęście! – niejedni mówią, kto wychodzi na podwórze zjawisko podziwiać.

W szkole zbliżamy się do końca elementarza, a pierwsza z samodzielnie przeczytanych przeze mnie książek to: „Baśnie z całego świata” W. Markowskiej. A dalej, na piątej pozycji, w zaprowadzonym już spisie: „O dwunastu krukach i białym gołąbku” Szpalskiego, z tym że słowo „kruki” napisane przez „ó” (kreskowane). – To jak ja tę książkę czytałem?

\*

Lato, wakacje i właśnie wtedy przeprowadzamy się na Staszica. I kiedy Tykwina przeniosła się do ochronki, kiedy Pęcherscy wyprawdzili się na Przedmieście Słupeckie, a fotograf Sypniewski pobudował się po drugiej stronie ulicy – to już nie było to samo Podwórze. I zanim tak się stało, może należało zrobić sobie zdjęcie – zbiorowe zdjęcie całego Podwórza. Tłem mógłby stać się orzech, oświetlony popołudniowym słońcem, a mistrza przy statywowym aparacie mógłby przecież raz zastąpić asystent. Dorośli, młodzież i dzieci – w podwórzu zgromadziłoby się kilkadziesiąt osób – stoją, siedzą, różnie. Są: Basia i Halinka Pęcherskie, Staszek i Wojtek Sypniewscy, ich rodzice z „drobiazgiem” na rękach; jest Kazmierczak Heniek z matką i Zbychu Graliński z rodzicami; są Lenartowie z dwiema córkami, wdowa Skalska, Tykwina i jest moja rodzina, jeszcze niekompletna. Stop! – pstryku nie będzie. Nie tylko obrazem czas się utrwała.

Przez pierwsze dni do nowego miejsca – niedaleko, a jakby inna dzielnica – nie mogłem się przyzwyczaić. Dzwony fary były nie z tej strony, było dalej do szkoły, brakowało ogrodu i ulubionych smrodyn. Za to układ nowego domu był fascynujący i mieliśmy wreszcie balkon. Poprzednie mieszkanie zwrócone było oknami na północ i na wschód, to nowe na południe i na zachód – lepiej.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania

KONINIANA  
www.koniniana.netstrefa.com.pl  
zdj: Images Copyright©2000 DigiTouch zdjecia portretowe: RAD

ADRES REDAKCJI:  
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
tel. 063 243 77 00, 243 77 03  
Redaguje zespół  
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 0138-0893